

Powieść o życiu z geniuszem i w cieniu geniusza



SARAH
QUIGLEY

Dyrygent

C Z Ę Ś Ć I

W I O S N A – L A T O 1 9 4 1

P U K A N I E D O D R Z W I

Chyba przez całe życie czekał na pukanie do drzwi. Słyszał je niewyraźnie, kiedy spał, jak próbowało przebić się do jego świadomości przez marzenia senne. Słyszał je, kiedy pracował, w nagłym dudnieniu kotłów lub ostrym szarpaniu strun podczas pizzicato. I słyszał je w odgłosie własnych kroków, kiedy szedł ulicami, więc nigdy nie mógł przed nim uciec, nawet gdy się spieszył.

Strach towarzyszył mu dzień i noc niczym natrętny, bezpański pies.

Szostakowicz! Szostakowicz! Czy ktoś go nawołuje po nazwisku? Zmusił się do otwarcia oczu. Obrzeża pokoju były zamazane, ale w samym jego środku, gdzie, jak wiedział, stoi stół do pracy, bił oślepiający blask.

– Nino? – zawołał, ale głos uwiązł mu w gardle, bo wciąż jeszcze na poły śnił.

Po omacku zaczęł szukać okularów, najpierw w łóżku, a potem na stojącym obok niskim stoliku. Z trudem uniósł rękę, palce miał zdrętwiałe, pozbawione czucia. Pracował do późna i od dwudziestu czterech godzin nic nie jadł, nie licząc odrobiny suchego razowca namoczonego w herbacie. Głód i przemęczenie miały swoją dobrą stronę: przytłumiały lęk. Co go obudziło? Czyżby pukanie do drzwi? Gdyby go teraz zabrali, niemal poczułby ulgę.

Wymacał palcami metalową oprawkę okularów. Odrzucił szorstki szary koc – ponoć przywilej. Ale nawet od przywileju może swędzić skóra.

Kiedy włożył okulary, zniknął migotliwy blask. Zobaczył brudne ściany, pokój jakby wstrzymał oddech. Teraz nie był pewien, co usłyszał. Kogoś na ulicy? Czy po prostu stukanie okna we framugi?

– Nino? – zawołał raz jeszcze. Spuścił nogi z łóżka, przesunął dłoń po włosach, powłóczę nogami, doszedł do drzwi.

Ale gdy ostrożnie wyjrzał na korytarz, nikogo tam nie zobaczył.

L I Ś C I K

We wspólnej kuchni na dole z sufitu zwisała goła żarówka. Jak zwykle uderzył w nią głową i zaklął. Zapach płynu do szorowania, kapusty i tanich kotletów przyprawił go o mdłości. Mieszając owsiankę, zacisnął nos palcami i ostentacyjnie oddychał przez usta, chociaż nie było nikogo, by przyglądać się jego teatralnym gestom. Był za to wdzięczny. Nigdy nie lubił rozmawiać przed południem i z całego serca nie znosił szumu kuchenek spirytusowych oraz głosów wwiercających mu się wczesnym rankiem w mózg. (Bez względu na to, jak obojętna, jak nieczuła na jego cierpienia zdawała się Nina, przynajmniej nigdy nie trajkotała jak przekupka!).

Kiedy oparł się o stół, by wytrzeć brudne okulary, usłyszał za sobą jakieś odgłosy. Ciche kroki przypominające stąpanie kota, sapiący oddech. Obejrzał się za siebie i zobaczył chude nogi sterczące z popękanych kaloszy.

Westchnął. Zawsze, kiedy dopuścił do tego, by skończyło się paliwo w kuchence na górze, i musiał zejść na dół, czekała go ta ciężka przeprawa, o ile nie zachowywał się cicho jak wiosenna trawa, kiedy rośnie.

– Ach, Dmitrij Dmitrijewicz! – Jak zwykle powiedziała to z ogromną satysfakcją. – Poznaję pana po krokach.

– Irina Barinowa! – Starał się, by zabrzmiało to tak, jakby był pogrążony w swoim własnym świecie. Ostatecznie właśnie tego się spodziewała: roztargnionego artysty, a co za tym idzie bezużytecznego sąsiada i w ogóle człowieka. – Jaki śliczny ranek, nieprawdaż?

– Ranek? – powiedziała Irina Barinowa tonem tyleż refleksyjnym, ile ostrym. – Czyżby wciąż był ranek? – Uniosła głos i pomarszczoną dłonią dotknęła postrzępionego zielonego swetra (było w znacznie lepszym tonie cerować stare ubrania, niż kupować nowe). Poszperała w kieszeni sukienki. – Ach. – Znów westchnęła, ale tym razem triumf był wyraźny, jak maczeta wycinała ścieżkę w parnym powietrzu. – W rzeczywistości ranek już dawno się skończył, Dmitriju Dmitrijewiczu.

Zirytowany ugryzł się w język i poczuł smak krwi.

– Jasna cholera! – mruknął. Patrzył bez słowa, jak leciwa Irina Barinowa podsuwa mu lekko drżącymi dłońmi złoty zegarek swego ojca, pamiątkę po lepszych czasach.

– Mój Boże! – zawołał. – Naprawdę już tak późno? Nic dziwnego, że nasza kuchenka przestała działać, nim się obudziłem.

Irina schowała ciężki zegarek z dewizką z powrotem do kieszeni kretonowej sukienki w kwiatki. Przesuwanie się ogniw łańcuszka, wolne, nieubłagane znikanie zegarka przywodziło Szostakowiczowi na myśl łódź rzucającą cumy. Znów ścisnął mu się żołądek, kiedy pomyślał: *Gdzie jest Nina?*

– Przypuszczam, że pracował pan do późna – powiedziała Irina. – Tak to już jest, kiedy się ma w domu geniusza. – Teraz, kiedy zdemaskowała go jako bezwstydnego członka bohemy, kiepskiego ojca i męża, który pozwala, by zabrakło spirytusu w kuchence, zaczęła mu pochlebiać. Wszystko to stanowiło część rytuału.

No dalej, kontynuuj przedstawienie, pomyślał Szostakowicz. Bardzo chciałby sobie stąd pójść, ale miał pusty żołądek, a owsianka jeszcze się nie zagotowała.

Irina z fałszywą skromnością spojrzała na niego spod siwych rzęs.

– Pomyśleć, że Dmitrij Dmitrijewicz Szostakowicz trafi pod mój dach. Najślawniejszy syn Leningradu zamieszka w domu mojego drogiego zmarłego ojca.

Szostakowicz schylił głowę. Kiedy słyszał takie słowa, zawsze ścisnął mu się żołądek.

– Wszystko to... – Zatoczyła koło chudą ręką. – Kiedyś wszystko to należało do mojego ojca. Od piwnic po strych.

– Wiem. Od lat powtarza to pani przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. – Zamieszał owsiankę drewnianą łyżką.

– Kiedyś mieliśmy pokojówki i kucharki. – Irina ciężko westchnęła. – Teraz dom pełen jest obcych ludzi.

Szostakowicz utkwiał wzrok w owsiance, marząc, by na jej powierzchni pojawiły się pęcherzyki powietrza.

– A propos pokojówek – Irina błyskawicznie wróciła do chwili obecnej. – Gdzie wasza Fienia? Nie widziałam jej od kilku dni.

– Fienia pojechała w odwiedziny do swoich rodziców. – Zdjął rondel z ognia. Niedogotowana owsianka wydała mu się nagle niezwykle apetyczna. – Dlatego sam przyrządzam sobie śniadanie!

– A Nina? Jak nasza droga Nina?

Szostakowicz upuścił łyżkę i owsianka zachlapała mu koszulę.

– Widziałam ją, gdy wychodziła wczesnym rankiem – ciągnęła Irina. – Razem z dziećmi. Chyba nieśli torby podróżne. Może też wybrali się z wizytą do krewnych?

Szostakowicz okrążył stół, znów uderzył głową w żarówkę. Jak na taką drobną osóbkę Irina Barinowa była prawdziwą mistrzynią w blokowaniu drogi ucieczki.

– Naprawdę najmocniej panią przepraszam. – Zamachał gwałtownie rondelkiem. – Nie ma nic gorszego od zimnej owsianki na śniadanie.

– Na śniadanie? – Irina znów uniosła pomarszczoną rękę do piersi. – Mój ojciec zdążył się umyć i ogolić, a także przejść po parku przed śniadaniem, które podawano w czerwonym salonie punktualnie o ósmej.

Pobiegł na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. Puste mieszkanie już nie wywoływało niepokoju; stanowiło błogosławieństwo. Stojąc obok starego drewnianego stołu, jadł owsiankę prosto z rondelka. Dolał wody do mocnej, zimnej herbaty, dodał pół łyżki miodu, który opadł na dno szklanki niczym kamień. Boże, ale jest głodny. I jakie ma pragnienie. Musi zacząć myśleć o pracy.

Wciąż jadł, kiedy dostrzegł na podłodze liścik. Kartka była lekko zabrudzona, bo wsunięto ją przez szparę w drzwiach, ale jego nazwisko, napisane znajomym charakterem pisma, było czytelne. Podeszedł do okna, by przeczytać wiadomość, nie przestając jeść letniej owsianki. Głośno odstawił ronderek, odłożył łyżkę. Dopił herbatę. Wciągnął buty, włożył czapkę z nausznikami i połatany płaszcz i wyszedł z domu.

Ł A W E C Z K A

Na ławeczce na rogu ulic Zamkowej i Klenowej siedział wielki, kudłaty niedźwiedź. Szostakowicz podeszedł do niego z pewną rezerwą.

– Spóźniłeś się – powiedział niedźwiedź. – I to sporo.

– Zaspałem – wyjaśnił Szostakowicz. – A potem Irina Barinowa zatrzymała mnie w kuchni. Myślałem, że już nigdy nie da mi spokoju. – Głośno przełknął ślinę i usiadł obok Sollertyńskiego okutanego w bezkształtny płaszcz, dobry dla włóczęgi. Niedogotowana owsianka była przesolona, czuł, jak w ustach rośnie mu wrzód. – Szlifujesz osiemnasty język obcy? – Spojrzał na trzymany przez Sollertyńskiego podręcznik gramatyki języka gruzińskiego. – Twoja lojalność wobec naszego przywódcy zawstydzą nas wszystkich.

– Trzeci. – Sollertyński puścił oko. – Jestem dziś *malcontent*, aż mnie przeszedł *frisson*, kiedy rano usłyszałem tę wiadomość.

Szostakowicz bliżej przyjrzał się książce. Pod jasnoniebieską okładką kryła się druga, szara; strony zapisane były po francusku.

– Niezrównany z ciebie hipokryta.

Sollertyński wzruszył ramionami, spojrział na wysokie błyszczące okna, na szpaler drzew w parku.

– Obaj wiemy, że hipokryci żyją dłużej niż dysydenci.

Promienie słońca kłuły niczym szpile. Szostakowicz postawił kołnierz.

– Zawsze wiedziałeś, jak pozostawać w cieniu. – W jego głosie można było dosłyszeć podziw, a zarazem zazdrość. – Jeśli masz mi coś do powiedzenia, chodźmy w jakieś mniej eksponowane miejsce.

Riumacznaja wydała im się ciemna, kiedy weszli do środka z zalanej słońcem ulicy. Sollertyński skierował się do stolika w kącie, Szostakowicz, podążając za nim, wpadł na krzesło.

– Nie wyglądasz najlepiej – powiedział wesoło Sollertyński. – Ciężka noc?

– Trzy ciężkie noce. Usnąłem nad ranem.

– Czyli wracasz do dawnych zwyczajów? – Sollertyński dał znak kelnerowi. – Mój biedny, udręczony przyjaciel.

– Dla mnie tylko herbata – poprosił Szostakowicz. – Niespełna godzinę temu jadłem śniadanie.

– I co z tego?

– No dobrze. Może jeden kieliszek.

Miło było tu siedzieć ze starym przyjacielem, czuć, jak dłonie stają się ciepłe, jak wódka rozgrzewa żołądek. Miło, na pozór jak każdego innego dnia, ale jednak coś było nie tak.

– Od kilku dni nie miałem wypróżnienia – oświadczył. – Może dlatego tak dziwnie się czuję.

– Zaczekaj, aż usłyszysz nowinę – powiedział Sollertyński. – Z miejsca dostaniesz rozwolnienia.

– Nowinę? – Szostakowicz nadstawił uszu, zapominając o zimnie na dworze, o oślepiającym słońcu, o niewyraźnym wrażeniu, że w mieszkaniu zostawił coś niedokończonego.

Sollertyński nachylił się nad malutkim okrągłym stolikiem. Uniósłszy krzaczaste brwi, pociągnął łyk wódki i głośno zamlaśkał. Ale odezwał się tak cicho, że Szostakowicz ledwo go słyszał.

– Co? Kto wyjeżdża?

Sollertyński dotknął nosa konspiracyjnym gestem.

– Powiedział mi to mój krawiec, kiedy poszedłem do niego dziś rano. W zeszłym tygodniu Herr Lehmann anulował obstatunek. Następnego dnia to samo uczynił Herr Ziegler.

Szostakowicz pokręcił głową.

– Dwóch Niemców zrezygnowało z garniturów na miarę. I co z tego?

– Dwóch niemieckich d y p l o m a t ó w – poprawił go Sollertyński. – Dwóch wysoko postawionych Niemców zrezygnowało z garniturów obstalowanych u leningradzkiego krawca, który cieszy się takim wzięciem, że do końca roku nie przyjmuje już nowych zleceń. Krawca tak dokładnego i tak zdolnego, że nie pozwoliłby sobie na jeden krzywy szew, nawet gdyby jego żonie groziło zamknięcie w przytułku dla ubogich. Dwóch niemieckich dyplomatów nagle zrezygnowało z garniturów zamówionych u Jurija Dawidienki, którego lista klientów oczekujących jest długa jak Wołga!

– Jesteś tego pewien? – wolno zapytał Szostakowicz. – Absolutnie pewien?

– Naturalnie, że tak. Sam to sprawdziłem. Chyba nie sądzisz, że uwierzę Dawidience na słowo w sprawach wykraczających poza wybór kroju spodni, co? – spytał Sollertyński znużonym tonem, jakby Szostakowicz był jednym z jego nierozgarniętych studentów muzykologii. – Po tym, jak się upewniliśmy, ile wynosi wewnętrzna długość nogawki spodni, doszedłem do wniosku, że państwo Lehmann chętnie zjedzą na śniadanie świeże pieczywo. – Urwał, żeby napić się wódki. – Kiedy dotarłem do nich z chlebem na śniadanie, zadzwoniłem do drzwi. – Znów urwał, tym razem dla większego efektu. – Zadzwoniłem raz, drugi, trzeci.

– I?

– Wyjechali. I to nie jest niedzielny wypad za miasto. Spakowali manatki i wynieśli się na dobre. Mieszkanie jest puste.

– Skąd wiesz?

– Zajrzałem przez dziurkę od klucza.

– Iwanie Iwanowiczu! Ktoś mógł cię zobaczyć. Powinieneś pamiętać o swojej pozycji.

– Najpierw nasłuchiwałem z uchem przy drzwiach – wyjaśnił Sollertyński. – Panowała absolutna cisza. Ani szurnięcia krzesłem, ani sprzeczki smarkaczy. Dopiero wtedy zajrzałem przez dziurkę od klucza. Głównie bojąc się, że będę musiał sam zjeść cały bochenek chleba. Co prawie mi się udało do południa. – Beknął. Chociaż był jednym z najlepiej wykształconych mieszkańców Leningradu, nie przeszkadzało mu to zachowywać się jak prostak.

Szostakowicz rozejrzał się wkoło. Sala była pusta, jeśli nie liczyć spiczastonosęgo Michała Druskina, zgiętego w pół nad notesem, niewątpliwie pastwiącego się nad ostatnim wykonaniem przez filharmoników suity orkiestrowej Prokofiewa.

– Czyli Niemcy ewakuują swoich?

– Tak to odbieram. Można mieć tylko nadzieję, że się mylę. – Na twarzy Sollertyńskiego, który zwykle na wszystko reagował śmiechem, malowała się złość; a może jedynie zmrużył oczy przed dymem rozchodzącym się od stolika Druskina?

– Muszę się odlać. – Szostakowicz odsunął krzesło i skierował się do obskurnej toalety. Stał nad urnami i utkwiał wzrok w długim, znajomym pęknięciu, biegnącym przez całą ich długość. W przeszłości widział w nim horyzont nad pszenicznymi łanami albo cienką, szarą smugę unoszącą się z komina parowca. Teraz był tak poruszony, że nic nie widział przez zaparowane okulary.

Sollertyński stanął obok niego i odkręcił wodę.

– Chociaż to dla nas zła wiadomość – powiedział cicho – to nie do końca jest niespodziewana. Od miesięcy dochodziły pogłoski z Londynu, z Waszyngtonu... A także z kraju.

– Ale o n postanowił ich nie słyszeć. I każdy, kto zmusi go do słuchania, drogo za to zapłaci. – Z widzianej jakby przez

mgłę ściany wyłoniła się znajoma twarz, zarazem prawdziwa, jak i nierealna, jak duch, który ukazał się Hamletowi. Szare oczy o kształcie migdałów, białe zęby, mocno zarysowana szczęka nad kołnierzem ozdobionym marszałkowskimi gwiazdkami. – Tuchaczewski! – szepnął Szostakowicz, ale twarz już zniknęła w czerwonej mgiele, krew spłynęła po ścianie do rynienki. Najlepszy marszałek Armii Czerwonej, jeden z najbliższych przyjaciół Szostakowicza, zastrzelony przez pacholków Stalina.

– Naturalnie Stalin nie chce tego słyszeć – zgodził się z nim Sollertyński. – Ani widzieć. Dopuszczenie do siebie myśli, że Hitler go wykołował, zepsułoby mu jego obraz świata.

– Zamknął więc oczy. – Szostakowicz zacisnął powieki. Szum wody, wódka o tak wczesnej porze, zjawia... Wszystko to sprawiło, że ogarnęły go mdłości. – Niemieckie szczury uciekają z tonącego okrętu, a my... Co my mamy robić?

Sollertyński pokręcił głową.

– Możemy jedynie czekać. Dziś rano przyszedłem do ciebie, żeby ci powiedzieć o swoim odkryciu, a nie zmobilizować do działania. – Westchnął. – Okazało się, że nic ani nikt nie zdołałby cię obudzić. Kiedy Szostakowicz w końcu uśnie, równie dobrze mógłby być martwy. Tak mocno stukąłem w drzwi, że niemal się rozpadły. Bałem się, że wyjdzie twoja żona i pogoni mnie miotłą.

– Nina! – Szostakowicz drgnął. – Kiedy się obudziłem, Niny nie było w domu. – Powoli zaczął sobie wszystko przypominać. – Wczoraj wieczorem zagroziła, że weźmie dzieci i na kilka dni przeniesie się do swoich rodziców. Była bardzo zła.

– I wcale jej się nie dziwię! – Sollertyński zakręcił wodę. – Chciałbyś być na jej miejscu? – Pierwszy skierował się do sali, która zdążyła się nieco wypełnić. – Nie obraż się, mój przyjacielu, ale nawet ja, chociaż mam stalowe nerwy, nie zgodziłbym się być twoim współmałżonkiem.

Szostakowicz dał znak kelnerowi, by mu jeszcze nalał wódki.

– Nina też nie ma łatwego charakteru – odparł buntowniczo.
– Nie potrafi zrozumieć, że czasami muszę być sam, by móc po-
pracować.

– Czasami? – powtórzył Sollertyński. – Przyznaj się, w tym ty-
godniu pracowałeś bez przerwy przez dwadzieścia cztery godziny
czy czterdzieści osiem?

– To drugie. – Szostakowicz się zarumienił. – Ale nie mogę
teraz przestać. To wykluczone. Dopóki nie skończę zarysu utworu.
– Utkwił wzrok w pustym kieliszku i ujrzał w nim cały wczorajszy
wieczór: uniesione głosy, trzaśnięcie drzwiami, płacz małej Galiny
i uporczywą melodię w swojej głowie.

– Romanse do wierszy poetów brytyjskich? Mój Boże, Dmi-
triju Dmitrijewiczu! Większość mężczyzn oddałaby wszystko, co
ma, by poślubić śliczną Ninę, a ty zamykasz się przed nią, by pisać
romanse do wierszy Raleigha, Burnsa i Szekspira? – Mimo wszyst-
ko Sollertyński pocieszająco klepnął go w ramię. – Nina nigdy nie
zostawia cię na długo. Wróci za parę dni. Wiesz, że nie potrafi ci
się oprzeć.

– Jak ćma ogniewi – powiedział ponuro Szostakowicz. – Szko-
puł w tym, że jest równie porywcza jak ja. Ale muszę pracować.
Wiesz, jak to jest, kiedy nabierze się rozpędu. Nie wolno się zatrzy-
mać, bo może się to źle skończyć. Bardzo źle.

Sollertyński najpierw uniósł brwi, a potem pełny kieliszek.

– Za muzykę i harmonię małżeńską. Oby kiedyś potrafiły
współistnieć.

– Za wolne myślenie i szybkie pisanie – dorzucił Szostako-
wicz i jednym haustem opróżnił kieliszek. – Cóż, nikt nie czeka na
mnie w domu. Skoro przez dzień albo dwa mam żyć jak kawaler,
chyba mogę się jeszcze napić.

Wypili kolejne trzy wódki. Sala rozbrzmiewała teraz gwa-
rem rozmów i śmiechem. Nawet Druskin, który rzadko kiedy
był szczęśliwy, miał minę zadowolonego z siebie krytyka, który
doprowadził do perfekcji swoją recenzję. Kiedy wychodzili, Sol-

lertyński głośno go pozdrowił, a Szostakowicz zerknął do otwartego notesu.

– P r e t e n s j o n a l n e – przeczytał. – T o p o r n e. Raczej farsa niż komedia. Melodie bez polotu.

Druskin zobaczył, że Szostakowicz zainteresował się jego recenzją, i zamknął notes.

– Dajcie spokój! – powiedział kompozytor. – Prokofiewowi można zarzucić wiele, ale nawet pan nie może zaprzeczyć, że ma wyjątkowy dar do układania melodii.

Druskin wzruszył ramionami.

– Na nieszczęście dla Siergieja Prokofiewa nie pan pisze recenzje.

Szostakowicz utkwiał wzrok w jego suchej, szarej twarzy.

– „Okażcie odrobinę wyrozumiałości, bo wszyscy, których spotykacie na swojej drodze, staczają wielkie batalie”.

Ale na Druskinie nie zrobiło to wrażenia.

– Filon z Aleksandrii – odezwał się Sollertyński, kiedy wyszedł na chłodny, słoneczny dzień. – Boże, ale ziąb.

– Wiosna się spóźnia w tym roku – zgodził się z nim Szostakowicz, kuląc się w swoim płaszczu.

Sollertyński postawił kołnierz marynarki kupionej sześć miesięcy temu, która z kieszeniami wypchanymi pękiem kluczy, z siepiącymi się klapami wyglądała, jakby miała już z dziesięć lat.

– Dobrze się czujesz? – Włożył płaszcz. – Gotów jestem przysiąc, że broniłeś niejakiego Siergieja Prokofiewa.

– Prokofiew ma duszę gęsi i talent indyka. – Szostakowicz wzruszył ramionami. – Niemniej jednak jest jednym z nas, a my, kompozytorzy, musimy się zjednoczyć przeciwko wrogowi.

– Teraz posługujesz się językiem wojny. Wróć do domu. – Sollertyński uściśnął mu dłoń, pocałował go w oba policzki i poradził, żeby dbał nie tylko o swoje małżeństwo, ale również o siebie, bo jest najlepszym kompanem do kieliszka w mieście, a poza tym również całkiem utalentowanym kompozytorem.

Szostakowicz skierował się w stronę domu, ale po chwili się odwrócił.

– Wiesz, co było najgorsze w tym brataniu się z Niemcami?

– Nie. Co? – spytał lekko podchmielony Sollertyński.

– Że przez tyle lat musieliśmy słuchać utworów Wagnera
– powiedział Szostakowicz i ruszył przed siebie.

O C Z E K I W A N I E

Karl Iljicz Eliasberg, powszechnie znany jako Elias, siedział i liczył, ile razy jego matka przeżuwa kęs jedzenia, nim go połknie. Dziesięć. *Przełknij*. Dwanaście. *Przełknij*. Godzien pochwały zwyczaj, zalecany przez lekarzy na poprawę trawienia. Nie szkodzi, że z uwagi na szpary między zębami jego matki jedli tylko coś w rodzaju purée z rzepy i brukwi, gotowanych tak wiele godzin, aż przemieniały się w szarą papkę bez smaku.

Skupił się na spożywaniu swego posiłku możliwie bezgłośnie, mając nadzieję, że matka pójdzie za jego przykładem. Nawet kiedy był sam, jadł, pił i poruszał się jak najciszej, jakby nie chciał przeszkadzać otaczającym go przedmiotom. Świat podążał jednym torem, on – innym. Zawsze tak było.

Piętnaście. *Przełknij!* Jak można robić tyle hałasu, przeżuwając rozgotowane warzywa zaledwie kilkoma zębami?

– Mamo! – wyrwało mu się.

Matka uniosła wzrok. Jeszcze się nie uczesała; siwe kosmyki opadały jej na ramiona niczym porosty. Ten widok jeszcze bardziej zirytował Eliasberga. Bez względu na to, w jakim stanie był cały świat, bez względu na to, jak szybko Europa pogrążała się w chaosie, nie było powodu do niechłujstwa, nawet o ósmej rano.

– Tak, Karl? – Oczy miała tak wyblakłe, jak koperty, które no-
siła przy sobie dzień i noc.

– Nieważne. – Bezgłośnie nabrał ostatnią łyżkę brei.

– Miałam nadzieję, że dziś rano zjemy świeże bułki. – Matka
grzebała w tym, co zostało na talerzu. – Czy nie jedliśmy tego sa-
mego wczoraj na obiad?

– Tak, mammo – powiedział z kamiennym wyrazem twarzy.

– Nie, żeby mi nie smakowało – zastrzegła się pani Eliasberg.

– Ale miałam dziś ochotę na chleb.

Eliasberg położył łyżkę obok talerza dokładnie pod kątem
prostym do krawędzi stołu.

– Dziś rano nie miałem czasu, żeby stać w kolejce po chleb.
Ani wczoraj wieczorem nie miałem czasu, żeby zagnieść ciasto.
Proszę, staraj się pamiętać, mammo, że jestem teraz bardzo zajęty.

Matka zbyła milczeniem jego wyrzuty i znów pochyliła się nad
talerzem.

– Jak tu jasno – wymamrotała. – Jak tutaj...

– Słucham, mammo?

Pani Eliasberg uniosła wzrok. Miała we włosach kawałeczki
rzepy.

– Nie chciałam cię zdenerwować, Karlu. Po prostu miałam
dziś ochotę na chleb.

– Tak, tak. – Spojrzał na biurko pod ścianą, ale po chwili zmu-
sił się, by znów przenieść wzrok na matkę.

– Mówiłam tylko: *Jak tu jasno, jak tutaj bezdomnie*. – Matka
rozmyślnie spojrzała w stronę uchylonego okna.

Zapadło milczenie. Na ulicy ktoś, kto nie jadł ze starą matką
rozgotowanych warzyw, pogwizdywał wesoło. Eliasberg zaczął
się bawić łyżką i z przyzwyczajenia nasypał trochę soli na pusty
talerz.

– Myśl o swoim zdrowiu, Karl! – Matka cmoknęła. – Chyba
nie chcesz umrzeć, nim skończysz czterdzieści lat, jak twój biedny
ojciec.

– Istnieje duże prawdopodobieństwo – powiedział Eliasberg – że zabije mnie coś innego niż nadmierne spożywanie soli. – Na przykład zrządzenie. Znajdą go siedzącego przy biurku, z głową na partyturach, doprowadzonego do śmierci w młodym wieku przez na pół sparaliżowaną matkę, która zachowała pełnię władzy jedynie nad językiem.

– *Odпочywa zmęczone ciało... A przechodnie pomyślą o mnie: Ona pewnie wczoraj owdowiła*¹. – Matka westchnęła ciężko, cytując Annę Achmatową, wersy, które powtarzała prawie codziennie przez ostatnie trzydzieści lat. – Cudowny wiersz. Idealnie oddaje moje położenie. Gdybyś ty był równie utalentowany...

– Ubieranie myśli w słowa nigdy nie było moją mocną stroną.

– To prawda – przyznała mu rację matka. – Bardzo późno zacząłeś mówić. Ze wszystkich dzieci urodzonych jesienią w promieniu trzech wiorst od stacji Piszewy ty jako ostatni wydałeś z siebie głos. Ale może już ci to mówiłam.

– Raz czy dwa.

Głośno skrobiąc łyżką w talerz, pani Eliasberg zgarnęła resztę warzywnej papki, obliżała łyżkę, cmoknęła.

– Nie, żebyś nie wyrósł na porządnego człowieka. Gdyby tylko twój biedny ojciec pożył trochę dłużej, by być świadkiem, jak jego syn jest najlepszym dyrygentem w Leningradzie!

– Mamo, proszę. – Eliasberg uśmiechnął się lekko. – Cały Leningrad wie, że wcale nie jestem najlepszy.

– Ech! Najlepszy czy prawie najlepszy to kwestia osobistych przekonań. A tyle opinii, ile liści na drzewie.

– Być może. – Eliasberg zabrał talerze do zlewu, umył je, wytarł, spłukał ściereką wrzątkiem z dużego, osmalonego imbryka. – A teraz, mamo, naprawdę powinienem iść do pracy. – Musiał to rzucić od niechcienia, mimochodem. *Pstrąg, który najszerzej otwiera pysk, najszybciej złapie się na haczyk*, przemknęło mu przez głowę.

¹ Anna Achmatowa, *** *Jak przez słomkę pijesz moją duszę...*, przeł. Gina Gieysztor. [Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

Matka dzięki wielu latom praktyki najpierw z jego ojcem, potem z nim, do perfekcji opanowała sztukę wybiórczego słuchania.

– Coś strasznego ta niemiecka wojna, prawda?

– Tak – zgodził się z nią Eliasberg, spoglądając na pustą ulicę.

– Mówią, że ludzie niewyobrażalnie cierpią – ciągnęła gawędziarskim tonem.

– Tak – powtórzył, otwierając szerzej okno. Wychylił się, poczuł wiatr na twarzy. Wysoko nad dachami chmury płynęły po bladym niebie.

– Polacy, Żydzi, wszyscy, którzy im wpadną w łapska. Aż boję się myśleć, co by zrobili, gdyby twój ojciec żył..

– Mamo, nie denerwuj się. Dopiero co jadłaś. Jeszcze nabawisz się niestrawności.

– Niestrawności po tej mdłej papce? Gdybym zjadła kawałek mięsa, chociażby odrobinę kielbasy, chętnie zgodziłabym się pocierpieć z powodu niestrawności. – Cmoknięcia, z których słynęła pani Eliasberg, miały najrozmaitsze znaczenia, tym razem było to cmoknięcie osoby ciężko potraktowanej przez los.

– Może przesunę twoje krzesło pod okno? – zaproponował Eliasberg. – Będziesz mogła trochę poopalać twarz. – Jeśli matka jeszcze raz cmoknie, złapie jej krzesło i wyrzuci je przez okno. Razem z nią.

Natychmiast się zawstydził. Dlaczego nie potrafi być miłszy?

Wsparł głowę o framugę i maksymalnie skupił uwagę na stercie partytur na biurku. *V Symfonia* Mahlera, myśl o *V Symfonii* Mahlera! Wyobraził sobie, jak odwraca sztywną zieloną okładkę i patrzy na pierwszą stronę.

Natychmiast usłyszał niskie, powtarzające się dźwięki trąbki – pełne nadziei czy zapowiadające tragedię? Jedno i drugie było możliwe w tych naglących, powtarzających się tonach. A potem wzniesienie się do tercji małej i jeszcze wyżej – do oktawy. A po nich dźwięki opadające i znów rosnące. I w końcu grzmot! Ten

śliczny, wszystko zawierający, pełny dźwięk, niedopuszczający krytycznych twarzy i maszerujących nóg, złowieszczych wiadomości, poczucia winy i strachu. Wszystko to znika...

– Co? – Usłyszał coś za sobą. Odwrócił się, ale we włosach wciąż miał wiatr, a muzyka Mahlera nadal rozbrzmiewała w jego głowie niczym wzburzone morze. Zobaczył, że matka porusza ustami, ale nie słyszał nic poza dźwiękami trąbki, niczym krople deszczu padającymi na haftowany obrus. Oderwał ręce od parapetu, poruszył nimi w powietrzu, nadając kształt temu, co słyszał.

– Co powiedziałaś? – spytał oszołomiony.

– Zapytałam... – Głos matki dobiegał jakby z daleka. Ale kiedy do trąbek doszły skrzypce, a melodia stała się słodsza niż śpiew słowika, wrócił do rzeczywistości: jest uwięziony w pokoju ze swoją schorowaną matką. Zamknął okno, odgradzając się od wiatru i tego, co leżało za miastem – widoków, których nigdy nie widział, muzyki, której nigdy nie słyszał – i odwrócił się z narzuconą sobie uprzejmością w stronę matki.

– Zapytałam – powtórzyła pani Eliasberg – kiedy zaczniesz myśleć o dzieciach. Nie jesteś już młody, skończyłeś trzydzieści pięć lat. A zanim Niemcy albo Anglicy rozbiją ten świat w drobny mak, chciałabym doczekać się wnuka.

– Mamo, nie mam jeszcze żony – przypomniał jej. – I nawet się na to nie zanosz.

Lekceważąco machnęła ręką.

– W orkiestrze dużo dziewcząt z pewnością szuka przystojnego męża. Ładna altowiolistka lub śliczna flecistka... – Urwała, nagle zaniepokojona. – Ale może kobieta muzyk to nie najlepszy materiał na żonę. Podobno są chimeryczne.

Eliasberg wykorzystał okazję.

– Tak, z pewnością bywają chimeryczne... Zwłaszcza gdy spóźniam się na próbę. Jaka panna pokocha niepunktualnego kawalera?

– Masz rację! – Pani Eliasberg przesunęła się z krzesłem po nierównej podłodze i wzięła z szafki rękawiczki syna. – Ubierz się! Nie trać tu czasu ze mną.

Eliasberg wziął od niej rękawiczki.

– Przysunę ci krzesło do okna. Czy słońce cię razi?

– Nie, nie! – Matka zamachała ręką. – Będzie mi tu bardzo wygodnie. I jeśli podasz mi kosz na robótki, zaceruję ci skarpetki. Nie wypada chodzić w konkury w dziurawych skarpetkach.

Eliasberg zbiegł z czwartego piętra ciemną klatką schodową i wyszedł na ulicę, zachowując równy krok niczym żołnierz, prosto trzymając głowę. Na skrzyżowaniu, gdzie, głośno dzwoniąc, przejeżdżały tramwaje, odwrócił się, osłonił oczy przed słońcem. Zobaczył, jak matka macha mu białą chusteczką. Uniósł ciężką teczkę w geście pozdrowienia.

Skręcił za róg i ruszył zwawszym krokiem, niemal biegiem. *Godność*, przypomniał sobie, czując, jak ścieka mu pot z pleców. *Za wszelką cenę należy zachować godność*. Po drugiej stronie ulicy był kiosk. Eliasberg nie widział nic poza stosem gazet leżących na samym wierzchu.

– Dzień dobry. – Kioskarz zachowywał się obojętnie, niemal zuchwale. W kąciku ust sterczał mu niczym krzywy ząb niedopałek taniego papierosa.

– Jeszcze coś?

– Nie, dziękuję. – Eliasberg odszedł kilka kroków od kiosku, rozpostarł gazetę... I jego wzrok padł na recenzję.

– Toporne... Raczej farsa niż komedia... – Słońce świeciło tak jasno, że niemal nie mógł czytać. – Beztroskie igraszki, w których styl poświęcono na rzecz dynamiczności. – Niemal zrobiło mu się żal Prokofiewa. Nigdy nie udawało mu się zasłużyć na pochwały krytyków.

Lecz nie tego szukał. Przebiegł wzrokiem do końca kolumny.

– Ależ naturalnie – mruknął wolno. – Czego się spodziewałeś. – Złożył gazetę raz, dwa, trzy razy, by móc ją wsunąć pod

pachę. Znów wrócił na ocienioną stronę ulicy, oparł się o zimny mur domu, jakby chciał, by przekazał mu swoją moc.

– Aha! – Ktoś wyłonił się z budynku po jego lewej stronie.
– Przecież to Karl Iljicz!

Eliasberg zamrugał powiekami, odwrócił się i zobaczył przed sobą Sollertyńskiego.

– Dzień dobry, Iwanie Iwanowiczu – powiedział z największym spokojem, na jaki potrafił się zdobyć.

– Dzień dobry! – Sollertyński wciąż wiązał krawat w niezgrabny węzeł. Jak na tak wybitnego wykładowcę, a do tego dyrektora artystycznego Filharmonii Leningradzkiej, wyglądał dość niechlujnie. – Przynajmniej mam nadzieję, że to będzie dobry dzień. Idę kupić gazetę, żeby zobaczyć, co złego napisał ten gnojek Druskin o mojej orkiestrze.

Eliasberg przełknął ślinę tak głośno, aż wydawało mu się, że było to słycać mimo klekoczących trolejbusów.

– Prawdę mówiąc, właśnie przeczytałem jego recenzję.

– Och! Bardzo zjadliwa? – Sollertyński przyglądał kołnierzyk na niestaranie zawiązanym krawacie i zerknął na Eliasberga.

– Wcale nie jest zjadliwa, Iwanie Iwanowiczu. – Eliasberg zagryzł usta. Nawet ekscentryczny strój Sollertyńskiego nie powstrzymał go przed okazaniem należącego mu uszanowania. – To znaczy Prokofiew nie wypadł najlepiej, ale Mrawiński, jak zwykle, uratował sytuację.

– Naprawdę? – Sollertyński dostrzegł gazetę, którą Eliasberg ścisnął pod pachą. – Mogę?

– Naturalnie. – Eliasberg podał mu gazetę, jakby go parzyła. Sollertyński wygładził papier.

– „Tylko Jewgienij Mrawiński i jego pierwszorzędni muzycy mogli uratować utwór przed oskarżeniami o lichotę” – wymamrotał, szybko przebiegając wzrokiem recenzję. – „Operuje batutą oszczędnie, ale władczo”. – *Ładnie!* – „Niesamowita pewność siebie, która przekłada się na absolutną władzę”. – *Bardzo dobrze!*

– „Leningrad ma szczęście, że może nazwać dyrygenta tej klasy swoim”. – *No cóż!* Wyprostował się. – Kto by pomyślał, że w sercu Druskina kryją się tak gorące uczucia?

– Rzeczywiście. – Eliasberg próbował się uśmiechnąć, chociaż wymagało to od niego nadludzkiego wysiłku. – Całkiem pochlebna recenzja jak na takiego malkontenta.

Pełnym galanterii gestem Sollertyński oddał mu gazetę, ale Eliasberg jej nie przyjął.

– Proszę ją zatrzymać. Już przeczytałem to, co mnie interesowało.

Dyrygent

Dmitrij Szostakowicz – genialny kompozytor, niezwykle silna osobowość, człowiek bezgranicznie oddany muzyce.

Jak zachowa się w obliczu nadciągającej katastrofy – niewyobrażalnego w swoim okrucieństwie oblężenia Leningradu?

Skomponowana wówczas *VII Symfonia* Szostakowicza obrosła legendą.

Jej pamiętne wykonanie w udręczonym mieście przeszło do historii.

Na czele Orkiestry Radiowej, złożonej z głodujących, zmarzniętych, wycieńczonych i chorych muzyków stanął wówczas Karł Iljicz Eliasberg

– DYRYGENT – zakompleksiony, żyjący wciąż w cieniu wielkich i sławnych. Niezauważany, pomijany. Odgradzony murem własnej surowości i starokawalerskich przyzwyczajęń. DYRYGENT, przed którym stanęło przerastające go wyzwanie, a jednocześnie wielka szansa.

Ta opowieść o heroicznych przygotowaniach do słynnego, transmitowanego za granicę KONCERTU Z OBLEŻONEGO MIASTA to dla Sarah Quigley pretekst do przedstawienia własnej, niezwykle ciekawej, barwnej wizji tworzenia przez Szostakowicza *Symfonii Leningradzkiej*.

A przede wszystkim – niekonwencjonalna opowieść o życiu, pasji, miłościach Szostakowicza, jego pełnym napięć i czułości małżeństwie, o rozstaniach i powrotach.

O miłości – która wybacza, wzmacnia i pomaga osiągnąć nieosiągalne.

Ale też – w drugim planie – o fascynującej Ninie Bronnikowej z zespołu Kirowa, dziewięcioletniej wiolonczelistce Soni i tylu innych, których los raz na zawsze odmieniła Historia. I o najtrudniejszych decyzjach, które musieli podejmować mieszkańcy Leningradu straszliwej zimy 1942 roku.

www.marginesy.com.pl



9 788364 700286

cena 39,90 zł